

EDENTHAL
L CHRIS NIE
NIEDENTHAL
HAL W punkt CHF
życie
z aparatem
DENTHAL
CHRIS NIE
EDENTHAL

**CHRIS
NIEDENTHAL**
W punkt
Życie
z aparatem

MARGINESY

Copyright for the text and photos © by Chris Niedenthal
Copyright © for the Preface by Adam Pluszka
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Przygody i poruszenia

Roland Barthes napisał kiedyś: „Aparaty były w gruncie rzeczy zegarami do patrzenia [...]”^{*} – i choć francuskiemu filozofowi chodziło o genezę samej technologii, wyjątkowo precyzyjny mechanizm, który stworzyli zegarmistrzowie, spostrzeżenie wydaje się niezwykle atrakcyjne także pod względem metaforycznym: zdjęcie odmierza czas. Zamraża go i dzięki temu buduje punkt odniesienia, a przy okazji pokazuje, jak kiepską mamy pamięć i jak łatwo naszej uwadze umykają mikrozmiany. Między innymi w tym tkwi siła fotografii Chrisa Niedenthala: udaje mu się uchwycić subtelne mutacje, które wraz z upływem lat ujawniają swoją skalę i są dowodem na to, że czas, choć często upływa niepostrzeżenie, zostawia na naszej rzeczywistości trwałe ślady.

Robiąc zdjęcia od ponad pięćdziesięciu lat, Niedenthal wychował sobie kilka pokoleń widzów. Z jednej strony są ci, którzy mają mniej lub bardziej podobne doświadczenia, pamiętają kontekst, miejsca i osoby uchwycone na kadrach. Na przeciwnym krańcu spektrum są zaś ci, dla których zdjęcia Niedenthala są jak lekcje historii współczesnej. Lektury tym bardziej niezwykle, że poparte świadectwem tego, kto we właściwym momencie nacisnął spust migawki.

Wspominany już Barthes napisał także: „W końcu wydało mi się, że najwłaściwszym (prowizorycznie) słowem dla oddania tego, że niektóre zdjęcia mnie przyciągają, będzie słowo *przygoda*. To zdjęcie *porusza mnie*, inne nie”. W *punkt* jest zaproszeniem do przeżycia dwustu przygód i dwustu poruszeń – bo tyle jest zdjęć i towarzyszących im opowieści.

Adam Pluszka

^{*} Ten i kolejny cytat za: Roland Barthes, *Światło obrazu*, przeł. Jacek Trznadel, Warszawa 1996.

Do Raju tylko 10 km

Kto by pomyślał, że odległość z Warszawy do raju wynosi tylko dziesięć kilometrów... Sfotografowałem ten słup kilometrowy (jak się go nazywa) stojący na skrzyżowaniu ulicy Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich w Warszawie w latach osiemdziesiątych. Teraz stoi tam jego nowsza wersja, mniej czytelna i brzydsza. Ale mniejsza o to.

Zawsze miałem kłopot ze znalezieniem powodu, dla którego ktoś domalował słowo „RAJ” jako miejsce docelowe i jeszcze dodał śmiesznie małą odległość od tego miejsca.

Ale kiedyś mnie olśniło, że jest to odległość od warszawskiego lotniska na Okęciu. Jeśli się tam pojechało, to można było polecieć wszędzie tam, gdzie nie było PRL-u.

No cóż, wtedy to było marzenie ściętej głowy, bo mało kto mógł sobie tak od razu polecieć do Lizbony, Madrytu czy Londynu. Do Wrocławia, Szczecina czy Koszalina owszem, ale już dalej – z trudem.



Lalki reperuję

Kto by pomyślał, że może istnieć tak ważna instytucja jak Klinika Lalek. Czy ktoś z państwa ją jeszcze pamięta? Ten zakład usługowy sfotografowałem we Wrocławiu w 1982 roku, bardzo mi zaimponował samym pomysłem. Wydaje mi się, że była to wówczas najśłynniejsza taka klinika we Wrocławiu, jeśli nie w całej Polsce.

Mieściła się przy Grodzkiej 6; teraz już nie ma po niej żadnego śladu.

Jakże ważne musiało to jednak być miejsce dla dzieci – przecież co chwila jakaś słabo umocowana główka odpadała od lalki albo oczko wypadało z głowy ukochanego misia. Dla dzieciaków to była tragedia, a tata czy mama nie zawsze potrafili poradzić sobie z reperacją. Pamiętajmy też, że w tych dawnych PRL-owskich latach chętniej się wszystko reperowało, niż wyrzucało i kupowało coś nowego. Kupowanie czegokolwiek było problemem, więc aż roiło się od złotych rączek, panów, którzy potrafili mnóstwo rzeczy zreperować, i robili to za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Nie to co dzisiaj.



Plac Jedności Robotniczej

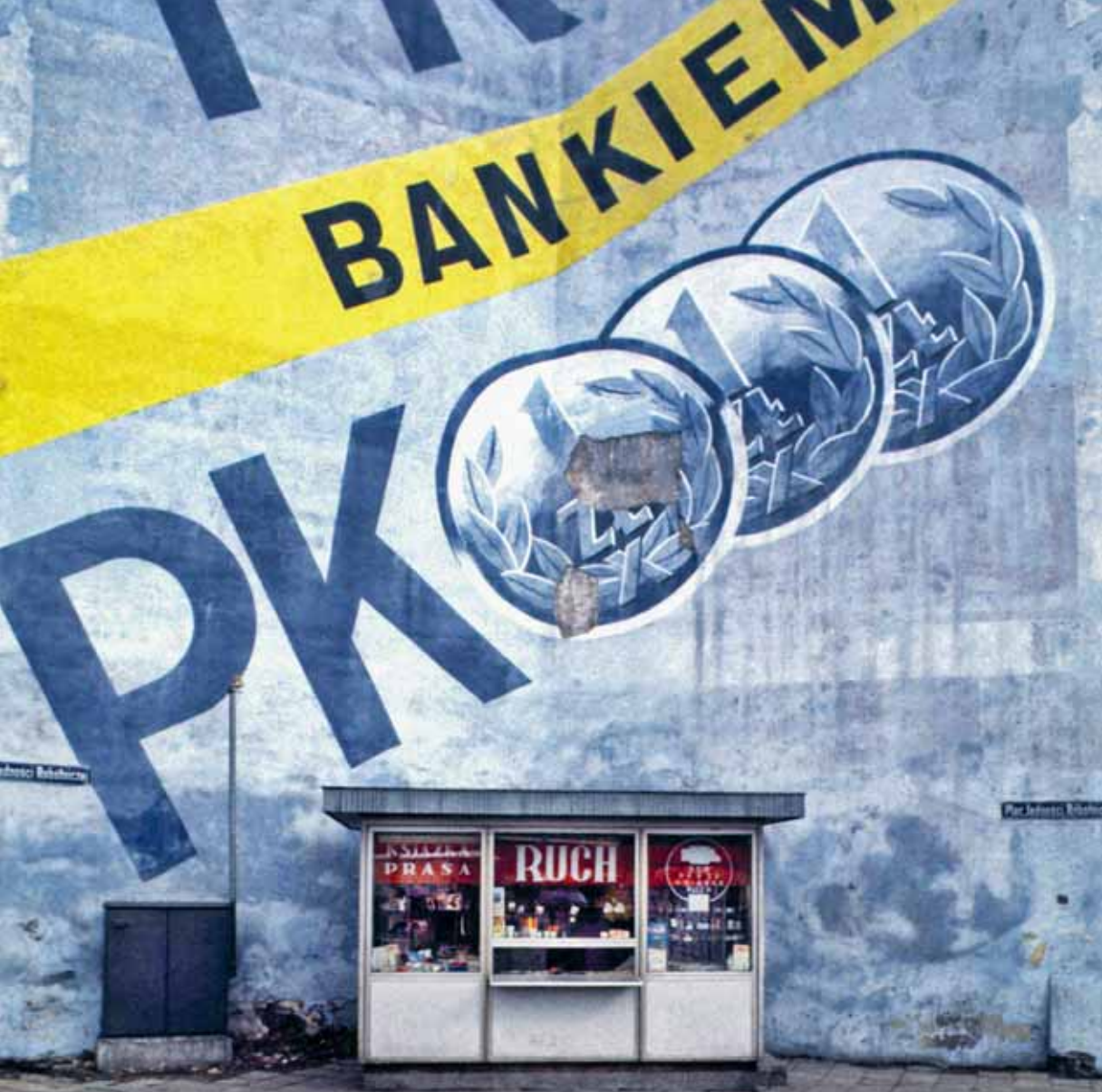
Dzisiaj ten plac w śródmieściu Warszawy znamy jako Plac Politechniki, z prostego powodu – bo mieści się tam główny gmach Politechniki Warszawskiej. Za czasów PRL-u ktoś jednak wymyślił bardziej socjalistyczną formę, stąd wzięła się dumna nazwa Plac Jedności Robotniczej. Jak to zazwyczaj bywa – nie wiadomo dlaczego.

Ten biały kudłaty piesek miał jednak to wszystko gdzieś i zdecydował się zapozować w miarę jeszcze młodemu fotografowi, bo wiedział, że znajdzie się dokładnie pośrodku kiosku Ruchu i bankowego muralu w tle. Brawo – udało się!

Dzisiaj kioski Ruchu należą do przeszłości, ale wtedy – choć może i były mało estetyczne – zaspokajały potrzeby mieszkańców miast w całej Polsce. Sprzedawano w nich gazety i czasopisma, często prenumerowane w teczkach dla poszczególnych osób; tanie kosmetyki, nawet filmy fotograficzne marki FOTON – choć akurat to nie było dobrym pomysłem, bo często leżały przy szybie, gdzie padały promienie słoneczne i panowała wysoka temperatura.

Natomiast ręcznie malowane murale bywały ciekawe i pomysłowe, choć w socjalizmie nie za bardzo było co reklamować. Państwowy bank był jednak zawsze i zawsze będzie. Ciekawe, że w dzisiejszych czasach ręcznie malowane murale – również reklamowe – wracają do popularności.

A psy prawdopodobnie nadal mają wszystko gdzieś.



Spóźnialski pociąg

Sześć godzin opóźnienia! Dzisiaj (a może wtedy też tak zrobiono) ogłoszono by na dworcu przez megafony, że pociąg przyjedzie z opóźnieniem trzystu sześćdziesięciu minut. Czas podany w taki sposób nie wydaje się aż tak długi. Gdyby megafonistka powiedziała po prostu, że to sześć godzin, ludzie by się załamali.

Tyle tylko, że ja, młodziutki ja, siedziałem wtedy nie na Dworcu Gdańskim w Warszawie, lecz w tym pociągu, i po raz pierwszy w życiu jechałem do Polski, do kraju moich rodziców. Dla mnie, dwunasto-, trzynastolatka, była to po prostu przygoda. Mój tata nie miał już w Polsce rodziny, ale mama jechała tu – już tylko na wakacje – po raz pierwszy od września 1939 roku, od wybuchu wojny. Sądziła wtedy, że wojna potrwa tylko kilka tygodni i zaraz wróci do rodziny – tymczasem był już rok 1963. Tyle lat czekała, by spotkać się ponownie z braćmi. Sama zdążyła w tym czasie wyjść za mąż w Londynie i urodzić najpierw moją siostrę, Krysię, a potem mnie.

A to zdjęcie to nie jest żadna Fotografia przez duże F. To po prostu pstryknięcie smartfonem, kopia strony w moim kalendarzyku z 1963 roku, sprzed ponad sześćdziesięciu lat. Przez te wszystkie lata nie pamiętałem, że moja pierwsza w życiu podróż do Polski miała aż takie opóźnienie. Może nawet wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo ta podróż i tak już trwała strasznie długo. Ile jeszcze odbyłem takich podróży! Od tego czasu polubiłem jazdę pociągami. Długie podróże wcale mnie nie odstraszały.

I prawdę powiedziawszy, ta podróż do Polski dała początek mojej fascynacji tym krajem. Jestem tu już ponad pięćdziesiąt lat. Pal sześć te sześć godzin!

JULY 1963

28 Sunday

7th after Trinity
Moon's first quarter 1.13 p.m.

*We arrive in
Warsaw, 6 hours
late.*

29 Monday

Chłopcy stanu wojennego

Wrocław, lato 1982 roku.

Skoro od pół roku trwa stan wojenny, to chłopcy też odpowiednio się bawią: co najmniej jeden z nich trzyma w ręku broń, wprawdzie plastikową.

Dzieci mają to do siebie, że człowiek z aparatem przyciąga ich zainteresowanie. Zazwyczaj wcale o to nie prosimy, bo pozujące i wygłupiające się do obiektywu dzieciaki niekoniecznie są gwarantem jakiegoś fajnego zdjęcia.

W tym wypadku może jednak nie jest aż tak źle: oni się właściwie nie wygłupiają, po prostu z zainteresowaniem patrzą w obiektyw. A było to typowe wrocławskie podwórko z tamtych lat – pokryty kurzem piasek, rozwieszone pranie, reperowane samochody.

Sympatyczne, przyjazne buzie, żadnej agresji, mimo pistoletu w ręku. Można by tych chłopców porównać z dzisiejszymi dziećmi: skulonymi nad telefonami i krzyczącymi: „Tylko nie wrzucaj tego na Facebooka!”, bo nie raz to słyszałem.

Fajni chłopcy.



„Ogórek” bez dachu

Sfotografowałem ten moment z „ogórkiem” bez dachu wiele lat temu (był to rok 1982) we Wrocławiu. Nie wiem dlaczego, ale to zdjęcie wypadło mi z pamięci i nigdy go nie doceniłem – choć pamiętam, że je lubiłem.

Jest owocem mojego fotoreportażu o tym mieście dla zachodni-niemieckiego miesięcznika „GEO”, a nacisnąłem wtedy spust aparatu, bo nigdy dotąd nie widziałem takiej wersji tego kultowego już autobusu. Tak wyglądała wtedy turystyka!

O ile pamiętam, fotografii tej nie zrobiłem z okna jakiegoś wysokiego budynku. Po prostu udało mi się za niewielkie pieniądze wynająć od miasta ciężarówkę z podnośnikiem; a żeby obsługa tej maszyneryi była bardziej – i dłużej – przychylna moim prośbom jeżdżenia po Wrocławiu, dałem owym panom karton papierosów Marlboro – oczywiście kupiony za dolary w Pewexie. Takie coś potrafiło zdziałać cuda właściwie we wszystkich krajach Europy Wschodniej. Pamiętam jak przez mgłę, że wszędzie w tym rejonie ceniono właśnie tę markę zachodnich papierosów, to znaczy wszędzie poza Rumunią, bo tam, nie wiadomo dlaczego, uwielbiało papierosy marki Kent. Pamiętam też, jak w Moskwie w latach osiemdziesiątych, kiedy z taksówkami było kiepsko, wystarczyło stanąć na ulicznym krawężniku z paczką Marlboro w podniesionej ręce – od razu z piskiem opon znalazł się chętny do zawiezienia w siną dal.

To tak à propos tego pięknego „ogórka”.



Ściana sera

W czasach PRL-u nie było tyle reklam co dzisiaj, zwłaszcza wielkoformatowych. Nie bardzo było co reklamować, a poza tym druk kolorowy był bardzo kiepski; zresztą tylko większe firmy czy przedsiębiorstwa państwowe miały fundusze na reklamę.

Natomiast dość popularne były ręcznie malowane murale reklamowe. Dawały one przy okazji pracę studentom szkół artystycznych, tak mi się przynajmniej wydaje. Miały też swój urok, do pewnego stopnia. Skoro jakikolwiek druk kolorowy, mały czy wielki, był prawie niemożliwy, to murale reklamowe na ścianach kamienic były idealnym rozwiązaniem.

A ten bardzo prosty, ale ciekawy mural reklamowy sfotografowałem w latach siedemdziesiątych w Białymstoku. Jak widać, polecał rozmaite sery jakieś firmy czy spółdzielni mleczarskiej. Trochę mnie to śmieszy, bo według mnie wszystkie te sery smakowały jednakowo; może tylko salami miał nieco inny smak. No i te postacie Adama i Ewy z butelką mleka zamiast jabłka... Mężczyzna, jak prawdziwy Adam z opowieści biblijnych, jest nagi, jedynie z gałązką z liśćmi w newralgicznym miejscu – ale u Ewy najwyraźniej nie potrafiąco podobnie załatwić sprawy nagości, więc ubrano ją w czarną kieckę.

Natomiast fotografowi często brakuje ludzi na zdjęciu, więc poczekał, aż przechodziła matka z dziećmi. *Et voilà!*



Ogólna szarżyzna

Szaro, wszędzie szaro... Czasy PRL-u były z tego znane.

Ten piękny szary blok mieszkalny sfotografowałem gdzieś w Warszawie w latach siedemdziesiątych. Pewnie zaimponował mi tym, że mimo całej tej szarości był już zamieszkany. Budynek ten dopiero co powstał – a już miał swoich mieszkańców. Nieważne, że na zewnątrz nie był jeszcze wykończony; plan został wykonany i ludzie mieli gdzie mieszkać. To oczywiście było zrozumiałe, bo mieszkań wtedy chronicznie brakowało. Dzisiaj zresztą też.

Ale budynek, który wyglądał, jakby miał już niemal sto lat, był – przy całej swej szarości – nowiutki.

I jego mieszkańcy byli w gruncie rzeczy zadowoleni.



Bronisław Komorowski ×28

×28 – co to znaczy? To znaczy tylko tyle, że fotograf musi być cierpliwy, kiedy fotografuje przemawiającą osobę. Miejsce: Plac Konstytucji, Warszawa. Data: 4 czerwca 2018 roku. Okazja: dwudziesta dziewiąta rocznica tak ważnych wyborów w 1989 roku. Kogo wtedy fotografowałem? Byłego prezydenta Rzeczypospolitej, Bronisława Komorowskiego. Odkąd stanął na tym prowizorycznym podium, zrobiłem podczas jego przemówienia dwadzieścia osiem zdjęć. Liczyłem na to, że może wykona jakiś bardziej ekspresyjny gest. W końcu zrobił to kilka razy, ale tylko raz akurat wtedy, kiedy łopotała za nim polska flaga. Tak więc pstryknąłem kilkadziesiąt właściwie niepotrzebnych fotografii. Mógłbym się tego trochę wstydzić, bo czekałem na ten właściwy moment, a uwieczniłem tyle zwyczajnych gadających głów. Trudno się tu obronić, ale pracowałem na aparacie cyfrowym, więc mogłem sobie strzelać do woli; w czasach, kiedy używaliśmy filmu, mieliśmy tylko trzydzieści sześć klatek, zanim trzeba było zmienić film. Myślę, że wtedy byłbym bardziej uważny.

Ale, jak widać, w końcu prezydent uniósł papierowy kubek (z winem?) i zrobił mniej więcej taki gest, na jaki czekałem.



Bokser w Auschwitz

Willem Dafoe. Legendarny aktor amerykański.

Spotkałem go podczas kręcenia filmu *Triumf ducha* (*Triumph of the Spirit*, 1989) w jakiejś hucie na Śląsku, chyba jeszcze w 1988 roku. To prawdziwa historia: Dafoe grał więźnia obozu Auschwitz-Birkenau, Salamo Aroucha, greckiego Żyda, który trafił tam z rodziną w 1943 roku. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej Arouch był na Bałkanach mistrzem wagi średniej w boksie. W obozie koncentracyjnym walczył w brutalnych walkach bokserkich, by ocalić życie swoje i swojej rodziny. A dla nazistów była to po prostu rozrywka.

W Polsce zdjęcia kręcono głównie na terenie obozu Auschwitz, ale też w tamtej śląskiej hucie, gdzie więźniowie byli wykorzystywani do pracy w nieludzkich warunkach. W filmie pojawił się też obowiązkowy wątek miłosny; w rolę ukochanej Dafoe wcieliła się Wendy Gazelle, grająca Allegrę.

Moje fotografie były przeznaczone dla amerykańskiego tygodnika „Time”. Planowali zamieścić nieduży materiał, ale chcieli coś napisać o głównym aktorze, o filmie i o tym, że film kręcono w Polsce.

Spędziłem z panem Dafoe cały dzień; myślę, że było mu miło pogawędzić z kimś po angielsku, i to z kimś niezwiązanym z całą tą machiną filmową.

Skoro nigdy przedtem – a właściwie i potem – nie miałem okazji poznać tej rangi (a właściwie żadnej rangi) amerykańskiego gwiazdora, czuję się zaszczycony faktem, że mogłem spędzić z Willemem Dafoe cały długi dzień w tak nietypowej scenerii.

Bez wątpienia jest on bardzo ciekawym człowiekiem.



Czas przeszły

Trochę tu będzie o nostalgii za dawnymi czasami. Tak jak Polacy, kiedy są we Lwowie, prawdopodobnie ze wzruszeniem oglądają stare, przedwojenne mapy tego miasta, na dodatek jeszcze w języku polskim – tak i Niemcy mogą mieć te same uczucia, przebywając w Gdańsku. W 2018 roku spotkałem się z tym pod pewnym starym drzewem blisko centrum miasta. Dwie Niemki, starsze już panie, przypominały sobie miasto, które za ich czasów nazywało się Danzig.

Domyślałem się, że te niemłode już palce kreślą na mapie spaceru odbyte kiedyś w tym mieście. Może kobiety pokazują sobie, gdzie, na jakiej ulicy mieszkały. I myślę, że to jest piękne. Kiedyś było tak – a teraz jest tak. Czy starsze panie ze smutkiem przypominają sobie dawne lata ich młodości? Czy może to tylko nostalgia za czasami, które ledwie pamiętają? A może całkowicie błędnie odczytałem tę scenę? Myślę jednak, że obie kobiety musiały być trochę wzruszone, stojąc tam, pod tym drzewem. I ja chyba też byłem.



Centralny w budowie

Lata siedemdziesiąte w Warszawie. Budowa nowego Dworca Centralnego trwa w najlepsze.

Dzisiaj, powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt lat później, trudno jest, stojąc na peronach i czekając na pociąg, wyobrazić sobie, na czym właściwie stoimy i jak to wszystko wyglądało w czasie budowy. I choć może same perony nie stwarzały wykonawcom wielkiego problemu, to gorzej było z budową wielkiej hali dworcowej nad naszymi głowami. Chciano zbudować olbrzymią, wysoką halę, i tak się stało. Odgłosy gigantomanii są tu słyszalne do dziś. Niestety hala okazała się niezbyt dobrze oświetlona, za wielka, za wysoka, i o co tu właściwie chodziło? Przez ostatnie pięćdziesiąt lat kilka razy ją poprawiano, raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem. W końcu najlepszym rozwiązaniem okazał się pomysł dobudowania antresoli, by wizualnie halę trochę zmniejszyć i uczynić przytulniejszą.

Wróćmy jednak do peronów. Mnie zawsze zadziwiała metoda dzielenia dworców na perony i tory. Może i jest w tym jakaś logika, ale zazwyczaj na świecie na dworcach wyróżnia się tylko perony. „Pociąg taki i taki przyjedzie na peron ósmy” – to zupełnie wystarcza. Dla osób nieznających języka polskiego (tak, są tacy!) podawanie dodatkowo numeru toru jest właściwie niepotrzebne, tym bardziej że numery torów są nieraz nielogiczne.

Uff! Tyle lat czekałem, żeby to z siebie wydusić!



1 sierpnia. Twarz

W ostatnich latach kilka razy fotografowałem na Rondzie Dmowskiego w Warszawie obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. To trudny temat do fotografowania, bo uczczenie tej daty i tej godziny trwa zaledwie minutę. Na samym rondzie stoją zazwyczaj narodowcy. W rękach trzymają zapalone kolorowe race (głównie czerwone); silniki ich motocykli wyją, ale większość zgromadzonych przez tę jedną minutę stoi na baczność w ciszy. Z powodu dymu i ognia mało tam widać. Jest to temat bardzo szybki i trudno wykonać tam jakieś sensowne zdjęcia.

Natomiast poza samym rondem funkcjonuje zdecydowanie inny świat – i to przez dłużej niż minutę. Na moim zdjęciu – był to rok 2020 – widać przejętego salutującego mężczyznę. Jest przebrany za powstańca. Na głowie ma niemiecki hełm wojskowy z polską, białą-czerwoną opaską – takie hełmy z taką opaską noszono w czasie powstania. Dodatkowo mężczyzna ma na ramieniu karabin.

Cieszę się, że zrobiłem akurat to zdjęcie, bo ludzie często pytają mnie, dlaczego zazwyczaj tylko fotografuję i pokazuję facetów z racami, narodowców, którzy przywłaszczyli sobie to święto.

Tak więc oto fotografia tej drugiej, spokojniejszej, poważniejszej i mniej dramatycznej strony obchodów rocznicy. Symboliczna i autentycznie emocjonalna.

